



WILCZE DZIEDZICTWO

UKRYTE CELE



MAGDA PARUS

**WILCZE
DZIEDZICTWO:
UKRYTE CELE**

W serii „Wilcze dziedzictwo” dotychczas ukazały się:

Magda Parus – Wilcze dziedzictwo: cienie przeszłości

Magda Parus – Wilcze dziedzictwo: Przeznaczona

Magda Parus – Wilcze dziedzictwo: ukryte cele

MAGDA PARUS

**WILCZE
DZIEDZICTWO:
UKRYTE CELE**



Agencja Wydawnicza
RUNA

WILCZE DZIEDZICTWO: UKRYTE CELE

Copyright © by the Author, Warszawa 2010

Copyright © for the cover illustration by Jakub Jabłoński

Copyright © 2010 by Agencja Wydawnicza RUNA, Warszawa 2010

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentu książki możliwe są tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

Projekt okładki: Fabryka Wyobraźni

Opracowanie graficzne okładki: własne

Redakcja: Urszula Okrzeja

Korekta: Magdalena Górnicka

Skład: własny

Druk: Drukarnia GS Sp. z o.o.

ul. Zabłocie 43, 30-701 Kraków

Wydanie I

Warszawa 2010

ISBN: 978-83-89595-59-1

Wydawca: Agencja Wydawnicza RUNA A. Brzezińska, E. Szulc sp. j.

Informacje dotyczące sprzedaży hurtowej, detalicznej i wysyłkowej:

Agencja Wydawnicza RUNA

00-844 Warszawa, ul. Grzybowska 77 lok. 436

tel./fax: (0-22) 45 70 385

e-mail: runa@runa.pl

Zapraszamy na naszą stronę internetową:

www.runa.pl

ROZDZIAŁ 1

- Emily.

Dziewczynka obejrzała się, zaskoczona. Przez moment miała wyraz twarzy osoby przyłapanej na nie-
dozwolonym zajęciu, zaraz wszakże uśmiechnęła się
pogodnie i wstała, odkładając na bok książkę. Orianie
mignęła okładka, zbyt kolorowa jak na podręcznik ma-
tematyki, który zresztą zauważyła w tym momencie na
ogrodowej ławce.

Emily wyszła na dziedziniec, żeby w ramach poran-
nych lekcji przygotować się do popołudniowego testu
z matematyki, a tymczasem czytała kryminał. Oria-
na powstrzymała się od komentarza. Jej podopieczna
umiała przekonująco argumentować, okazałoby się
więc zapewne, że kryminał stanowi jedynie krótki prze-
rywnik w nauce, dzięki któremu przyswajanie wiedzy
idzie małej znacznie sprawniej, względnie, że dziew-
czynka opanowała już cały materiał. Jeśli wynik testu
będzie rozczarowujący, Oriana poruszy kwestię relacji
obowiązek-przyjemność. Na razie zdecydowała się na
inny rodzaj reprimendy.

- Chodzę cicho, ale nie bezszelestnie - powiedzia-
ła chłodno. - Powinnaś zawsze nasłuchiwać odgłosów

płynących z otoczenia, bez względu na to, jak absorbującą czynność akurat wykonujesz.

– Przepraszam, mistrzyni. – Emily pokornie spuściła głowę. – Będę nad tym pracować.

Oriana leciuteńko zmrużyła oczy. Niekiedy irytowała ją przesadna grzeczność małej, tak ugładzona, że aż sztuczna.

– Mistrz Lars odwołał dzisiejsze zajęcia – poinformowała podopieczną Oriana. – Prosił, żebym go zastąpiła, zrobimy więc sobie lekcję historii.

– Społeczności? – upewniła się Emily.

Przez chwilę Oriana chciała zaprzeczyć, dla czystej satysfakcji sprawienia małej kolejnego zawodu – pierwszym była wiadomość o odwołaniu zajęć z Larsem. Nie lubiła tego dziecka, ale przecież Emily nie ponosiła winy za ów stan rzeczy. Oriana nie znosiłaby każdego dziecka, jakie powierzono by jej opiece.

– Tak – powiedziała, siadając na ławce. Rzeczywiście zaplanowała lekcję z historii społeczności. Wskazała dziewczynce miejsce obok siebie. – Gotowa? Skończyłyśmy na Anthonym. Przekonajmy się, ile zapamiętałaś.

Emily zmarszczyła w skupieniu czoło i zaczęła recytować życiorys najsłynniejszego lidera europejskiej społeczności. Nie dysponowała żadnymi materiałami, jako że wiedzy na temat społeczności nie wolno zapisywać na papierze, choćby takie notatki miały posłużyć jedynie utrwaleniu wiadomości, by zaraz potem ulec zniszczeniu.

Zdaniem Oriany Anthony nie był szczególnie wybitną postacią, a jedynie objął stanowisko lidera w wyjątkowym czasie. Wykazał się, integrując europejską społeczność w zawierusze II wojny światowej, a rok po jej

zakończeniu zginął od wybuchu niewypału, pozostawiając trudną i nudną robotę organizacyjną swoim następcom, których imiona mało kto teraz pamiętał. Jednakże młodym świadomym podawano Anthony'ego za wzór, Oriana zaś nie widziała powodu, żeby przedstawiać dziewczynce wersję odmienną od oficjalnej.

– On naprawdę zginął od bomby? – zapytała Emily, gdy dotarła do finalnego punktu życiorysu wielkiego lidera. – No bo w trakcie wojny, to rozumiem, ale rok po nastaniu pokoju...

Oriana przyjrzała się małej spod oka. Niekiedy dziewczynka wykazywała się szokującą przenikliwością. Choć może zadała pytanie ze zwykłej ciekawości, nie sugerując bynajmniej, że to kapłani usunęli Anthony'ego, ujrawszy w nim zagrożenie dla swoich wpływów w społeczności. Prawdę mówiąc, nawet zapoczątkowane przezeń dzieło nie do końca było pożądane. Podległe kapłanom służby funkcjonowały od wieków sprawnie, na ponadnarodową skalę, a manipulowanie szarymi członkami społeczności przebiegało łatwiej, kiedy czuli się oni zagubieni w ludzkim świecie. Anthony tchnął w nich wiarę w siebie. Zarazem jednak owych zmian nie dało się uniknąć. Gdyby było inaczej, kapłani by do nich nie dopuścili, zabijając lidera, zanimby cokolwiek działał. Rozumieli jednak, że przeobrażenia są nieuniknione i nie ma znaczenia to, kto ich dokona.

– Niekiedy ktoś latami walczy, pokonuje największe trudności, wychodzi cało z najgroźniejszych opresji, a miesiąc po wycofaniu się do spokojnego życia ginie w banalny sposób – odparła neutralnie Oriana. – Być może Anthony odszedł we właściwej chwili. Dokonał wielkich rzeczy, ale gdyby w kolejnych latach wypalił się

i nie poradził sobie z pojawiającymi się problemami, nie zostałby zapamiętany jako najwybitniejszy lider w historii europejskiej społeczności.

– Czy przeciętny Pierwszy Kapłan nie dokonuje na co dzień donioślejszych czynów? – dociekała z powątpiewaniem Emily.

– Zapominasz, że o kapłanach wiedzą nieliczni – odparła Oriana, przekonana, że dziewczynka doskonale pamięta o tym fakcie. Emily zwyczajnie nie mieściło się w głowie, że ktoś może nie pożądać sławy czy choćby uznania ogółu. – Ty stanowisz bardzo szczególny przypadek, dlatego uczysz się naszej historii w innym trybie niż twoi rówieśnicy. Nawet dzieci kształcone na przyszlých kapłanów w tym wieku nie poznają jeszcze rzeczywistej struktury organizacji. Jeśli bowiem ostatecznie okażą się nie dość utalentowane, żeby dostąpić wtajemniczenia, przesuwa się je do wyspecjalizowanych służb, których szeregowi pracownicy nie wiedzą, komu naprawdę podlegają.

– Co to za przyjemność sprawować władzę, kiedy prawie nikt nie wie, że rządzą?

Przyjemność. To dziecko używało dziwnych sformułowań. Z drugiej strony, skąd Oriana miała wiedzieć, jak zapatrują się na władzę jedena... no, już prawie dwunastolatki? Emily marzyła o rządzeniu światem, rojąc sobie zapewne, że sprowadza się ono do siedzenia na tronie i uśmiechania się wyrozumiale do poddanych. Była wyjątkowa, wierzyła, że kiedyś społeczność legnie u jej stóp, a nie dostrzegła jeszcze ogromu związanej z władzą odpowiedzialności.

Wizje dziewczynki dotyczyły wszakże odległej przyszłości, na razie zaś czekało ją ważne zadanie. A tymczasem

Colin przebywał Bóg wie gdzie, porzuciwszy poszukiwania siostry na rzecz innych zainteresowań. Jeśli wkrótce go nie namierzą, misterny, realizowany przez lata plan Larsa może zakończyć się porażką. Oriana powątpiewała, czy zostawianie chłopakowi swobody było trafnym posunięciem. Ale wówczas i tak nikt nie pytał jej o zdanie. W zasadzie w tej kwestii niewiele się zmieniło. Wszystkie decyzje podejmował Lars.

* * *

Na dworze rozległ się pisk opon hamującego gwałtownie samochodu. Colin podszedł do zamkniętego okna i zerknął przez nie z kwaśną miną. Tak jak podejrzewał, kolejny kierowca w ostatniej chwili stwierdził, że jednak nie zdąży przejechać przed pieszym na pasach. Cholerne miasto. W tym wszechobecnym, nieustającym nawet nocą hałasie nie sposób było odzyskać spokój ducha, ale Tin nie chciała słyszeć o wyjeździe na łono natury. Twierdziła, że tutaj czuje się świetnie.

Colin zacisnął pięści, starając się zdusić narastający w nim gniew. Jemu z pewnością nie służyła ta przeklęta Warszawa. Opór Tin wydawał mu się wyjątkowo głupi i szkodliwy, ilekroć jednak próbował na nią naciskać, choćby delikatnie, okazywało się, że jej nie rozumie, nie szanuje jej upodobań i – ogólnie – osobnik pokroju Colina nie zasługuje na taką dziewczynę. Nie mówiła tego, oczywiście, nie wyczytał też niczego z jej myśli, ale wystarczały mu jej sugestywne spojrzenia.

Kroki na klatce schodowej. Colin z niechęcią zmarszczył brwi: nie lubił przebywać w mieszkaniu sam na sam z Matem, ale gdyby teraz oznajmił, że wychodzi,

wyglądałoby to na ucieczkę. Laski gdzieś wywędrowały, na zakupy albo do kina – nie spytał, bo na pewno nie powstrzymałby się od komentarza. Tin potrzebowała swobodnego biegu w zalanym blaskiem księżyca lesie, a nie cholernych miejskich rozrywek!

Mat wyszedł razem z Carol i Tin, dlatego Colin sądził, że chłopak im towarzyszy. A teraz spotkała go niemiła niespodzianka.

W zamku zgrzytnął klucz.

– O, jesteś – powiedział Mat. On także nie ucieszył się na widok Colina.

– Gdzie zostawiłeś dziewczyny?

– Poradzą sobie beze mnie.

Mat nieco zbyt gwałtownie zdjął kurtkę i cisnął ją na szafkę w przedpokoju, jakby zabawa z wieszakiem chwilowo go przerastała. Przeszedł do kuchni, zważył w rękę czajnik elektryczny, postawił go z powrotem na podstawie i włączył.

Colin obserwował brata, oparty o ościeżnicę swojej kanciapki. Wynajmowali coś, co tutaj nazywano mieszkaniem trzypokojowym, choć zdaniem Colina tylko jedno pomieszczenie – to zajmowane przez dziewczyny – od biedy dałoby się nazwać pokojem. Pozostałe dwa zasługiwały raczej na miano komórek. Zestaw uzupełniały: mikroskopijna łazienka z toaletą, ciasna kuchnia i mroczny przedpokoik.

– Gdzie je zostawiłeś? – powtórzył Colin, głównie dlatego, żeby gówniarz nie zbywał go jak byle pętaka.

– Rozstaliśmy się pod drzwiami kawiarni, okej? – burknął Mat. – Rano. Mówię ci, świetnie sobie radzą w dwie. Nie musimy ich niańczyć, więc zajmijmy się wreszcie poszukiwaniami, zamiast tkwić tu beczynnje.

Nie po raz pierwszy chłopak sugerował, że tracą w Polsce cenny czas, lecz nigdy dotąd nie wyraził tej myśli tak otwarcie. I z taką pasją. Colin przyjrzał się bratu spod łba. Szczeniak coś wykombinował, przy czym właśnie zaczynał wątpić w słuszność swej decyzji. Jeśli zaś nawet Mat dostrzegął, że postąpił głupio...

– Nie ustaliliśmy przypadkiem, że poszukiwaniami zajmę się sam? – zapytał cicho Colin. Oczy mu się przebarwiły.

Mat cofnął się o krok, w głąb kuchni. Drgnął, kiedy pstryknął czajnik, sygnalizując koniec gotowania.

– Teraz robisz to celowo – powiedział chłopak tonem, który miał chyba wyrażać pewność siebie. – Przecież widzę. Wtedy... wtedy wyglądałeś inaczej, jakbyś faktycznie zamierzał mnie zaatakować.

Szczył miał rację, Colin w tej chwili kontrolował barwę oczu – po prostu podobał mu się efekt, jaki wywierało na bracie wilcze spojrzenie. Jednakże nawet gdyby jego oczy stały się bursztynowe pod wpływem wściekłości, sporo by go dzieliło od tamtej ślepej furii na autostradzie. Zamierzał zaatakować, cóż za niedomówienie! Rozszarpałby Mata, gdyby ten choć kilkadziesiąt sekund dłużej ociągał się z opuszczeniem samochodu.

Dziś Colin nie rozumiał, jak mógł do tego stopnia stracić panowanie na sobą, by realnie zagrażać bratu. Z drugiej strony, zdawał sobie sprawę, że tamta furia w nim drzemie, tuż pod powierzchnią codziennego spokoju, na którego osiągnięcie pracował ciężko w minionych tygodniach.

Pracował nad sobą tylko ze względu na Tin. Tin smutną i wyciszoną, w której obecności każdy jego wybuch

wypadał wręcz karykaturalnie. Zarazem nic tak nie doprowadzało Colina do szału jak ten jej ponury spokój, milczące cierpienie, zupełnie, psiakrew, bezpodstawne. Wychodził, uciekał od niej i włóczył się po mieście, gdzie przecież próżno było szukać ukojenia dla nerwów – a jednak zdołał odzyskać samokontrolę. Zgoda, do pełnego opanowania wiele jeszcze Colinowi brakowało, niemniej sam czuł się zaskoczony poczynionymi postępami.

Nie wykluczał jednak, że gdyby nagle przyszło mu spędzić dwadzieścia cztery godziny w towarzystwie brata, całą jego pracę nad sobą trafiłby szlag. W minionych tygodniach w miarę możliwości unikali się nawzajem; Colin nie spodziewał się, że chłopak okaże się tak tępy, by ponownie wyskakiwać z propozycją wspólnej wyprawy w poszukiwaniu Emily.

– Dobrze wiesz, że współpraca nam się nie ułoży – powiedział Colin, przywracając oczom normalną barwę. Żeby znowu nie było, że to on wszczyna spory. – Przestań naciskać.

– Nasza współpraca nie musi polegać na tym, że staniemy się nierozłączni. – Mat z wahaniem wyjął kubek z szafki. – Chcesz kawy?

Colin potrząsnął głową: nie chce żadnej cholernej kawy i niech gówniarz nie zmienia tematu.

– Podzielmy się zadaniami – podjął chłopak. – Ale zaczynajmy wreszcie coś robić.

– Na przykład co? – rzucił wyzywająco Colin.

Był pewien, że Mat zna odpowiedź. Poruszył temat Emily w jednym celu: żeby zakomunikować Colinowi, co wymyślił. Tyle że najwyraźniej opuściła go odwaga. Zamiast odpowiedzieć na pytanie, zajął się starannym

odmierzaniem wsypywanej do kubka rozpuszczalnej kawy.

- Planowałem objazd różnych miejsc kultu w nadziei na podpowiedź przecucia – odezwał się znów Colin. – Tylko że to Tin miała słuchać głosu przecucia, a ona... sam widzisz. Sądziłem, że szybciej się otrząśnie. Bez jej pomocy miotałbym się bez sensu z miejsca na miejsce.

- Skąd wiesz? – zaatakował Mat. – Może byś się natknął na jakąś wskazówkę, kogoś zobaczył lub zwęszył? Albo twoje własne przecucie by ci coś podsunęło? No bo wyjaśnij mi, czemu ono milczy, skoro wyzwoliłeś się spod wpływu Udon? Co? Może zwyczajnie nie chcesz, żeby przemówiło! Siedząc w Warszawie, nie osiągniesz absolutnie nic. Gdybyś ruszył tyłek, miałbyś choć ułamek procenta szansy!

- Skończyłeś? – Colin postąpił krok w jego stronę, znów pozwalając oczom zmienić barwę.

Mat sięgnął za plecy, po czym wymierzył w Colina z leciwego rewolweru.

- Chodziłeś z bronią po mieście? – zapytał wolno Colin, wpatrzony w wylot lufy.

- To Antoine'a.

- Domyślam się. Nie o to pytałem.

Tak, Colin nie wątpił, że rewolwer należał do Antoine'a, jak również, że był załadowany srebrnymi kulami. Smarkacz naprawdę strzeliłby do niego srebrem?

- Nie pozwolę, żebyś mi groził – rzucił Mat, niby buńczucznie, jednakże trzymająca broń ręka wyraźnie mu drżała. Założył, że w razie potrzeby postrzeli brata w bark lub udo, ale w stanie takiego podenerwowania równie dobrze mógł trafić w ścianę, jak i w serce Colina. – Zrób jeszcze krok...

- Spalisz nam kryjówkę.

- Co z tego? Przecież zależy ci na tym, żeby się stąd wynieść.

Cholera. Colin przyglądał się bratu. Chłopak chyba nie do końca przemyślał, co zamierza osiągnąć, wyciągając broń, teraz zaś, kiedy już ją trzymał, nabierał przekonania, że powinien jej użyć, jeśli pragnie z tej sytuacji wyjść z twarzą. I w jednym kawałku.

Co dalej? Colin zdołałby doskoczyć do Mata, unikając postrzału, nie zapobiegłby jednak pociągnięciu za spust. Owszem, chciał, żeby się wynieśli z Warszawy, ale niekoniecznie z wielkim hukiem.

- Napisałem do Bensaona - powiedział Mat.

Gdyby strzelił, szok Colina byłby niewiele mniejszy.

- Nie podałem adresu - dorzucił natychmiast Mat. - Wyzначyłem mu spotkanie na Dworcu Głównym.

Ale podał Bensonowi nazwę miasta. Gówniarz wyjawiał agentowi, gdzie ukrywa się Tin! Colinowi wyrosły pazury, a Mat oczywiście to zauważył. Dłoń z rewolwerem zaczęła mu jeszcze bardziej drżeć, więc podparł ją drugą ręką.

- Cofnij się, Colin - powiedział z desperacją. - Proszę cię. Posłuchaj... - ciągnął, mimo że Colin nie zastosował się do jego polecenia. - Jeśli to on zabił Paula i pozostałych, chcę, żebyś go wykończył, rozumiesz? A jeśli przypadkiem... jeśli przypadkiem gra po naszej stronie, może udzieli nam cennej wskazówki.

- Powinieneś być najpierw zapytać mnie o zdanie - wycedził Colin.

Furia. Dawna towarzyska, którą Colin powitał wręcz z lubością. Gdyby wtedy na autostradzie rozszarpał gówniarza, Tin nic by w tej chwili nie groziło.

- Dałem ci miesiąc - bronił się Mat. - Równy miesiąc. Rzucałem aluzje. Czekalem, żebyś zaczął działać, wysunął jakąkolwiek koncepcję. Miałeś szansę. Odrzuciłbyś ten pomysł tylko dlatego, że to ja na niego wpadłem. Sorry, ale lepszy nie przyszedł mi do głowy. Przynajmniej wreszcie coś zrobisz.

O tak, Colin zaraz coś zrobi. Matowi. Mierzył chłopaka wzrokiem. Gówniarz chyba jednak nie potrafiłby strzelić, ani do Colina, ani do nikogo innego. Czyżby dlatego sięgnął po broń, żeby dowieść samemu sobie, że jednak potrafi? I właśnie przekonywał się, że nie ma dość siły...

Niekiedy Mat zachowywał się tak, jakby wolał, żeby przed miesiącem wypadki potoczyły się nieco inaczej - żeby Carol odrobinę ucierpiała, pozwalając mu wejść w rolę troskliwego opiekuna. Albo przynajmniej doznała psychicznego wstrząsu, jak Tin. Tymczasem Carol świetnie sobie poradziła bez pomocy swego mężczyzny i w dodatku ani przez chwilę nie sprawiała wrażenia poruszonej zajściem.

Cóż, Colin także życzyłby sobie innego przebiegu zdarzeń. Marzyło mu się, by Tin okazała się bardziej samodzielna i bezwzględna, dzięki czemu on mógłby poświęcić się poszukiwaniom siostry spokojny, że w razie potrzeby jego dziewczyna obroni się sama. Cholera.

- Colin, stało się - powiedział Mat, teraz niemal błagalnie.

W korytarzu za drzwiami znów rozbrzmiały kroki. Co za idealne wyczucie czasu! Czyżby Tin zachowała swe zdolności, a jedynie przed nim odgrywała biedną, zranioną istotkę...? Colin przymknął powieki. W tej chwili byle drobiazg wystarczył, żeby sprowokować go do

zaatakowania Mata, a przy Tin nie mógł sobie pozwolić na podobny wyskok.

- Dziewczyny wracają - rzucił na kilka sekund przed zgrzytnięciem w zamku klucza, po czym szybko wycofał się do swojej klitki, zamykając za sobą drzwi.

* * *

Colin oparł się dłońmi o parapet. Słyszał wymianę zdań między Matem a Carol, banalne słowa powitania. Chłopak najwyraźniej zdążył schować rewolwer, ale z jego głosu przebijało zdenerwowanie, tak że Tin niewątpliwie zorientowała się, że coś nie gra. Nie skomentowała tego jednak. Normalka, ostatnimi czasy milczenie stało się jej podstawowym zajęciem.

Ponoć rozmawiała z Carol - ta ostatnia coś takiego sugerowała, niemniej Colina nie spotkał zaszczyt przysłuchiwania się takim pogaduszkom. No i jak właściwie Carol definiowała rozmowę? Wystarczyły dwa zdania na godzinę?

Do Colina Tin prawie się nie odzywała, a jeśli już, to wyłącznie na głos, zamykając przed nim swój umysł. Jakby winiła go za to, co się wydarzyło - a takiej sugestii nie potrafił znieść. Zgoda, sprawdziły się jego najgorsze obawy i podejrzenia, ale przecież nie zmieniłby biegu wypadków, traktując Antoine'a jak zaufanego przyjaciela!

Przede wszystkim, Tin zdecydowanie przesadzała. Colin nie chciał zasłużyć na etykietkę nieczułego drania, ale jego zdaniem nie zaszło nic, co uzasadniałoby tak krańcową reakcję. Szczerze mówiąc, powinna się cieszyć... Stłumił tę myśl. Nie był pewien, czy ona nie

wyłapuje jego gniewnych rozważań, mimo że pilnie pracował nad ukrywaniem ich.

No dobrze, wróćmy do spraw bieżących. Mat autentycznie zasługiwał na potraktowanie pazurami. Miesiąc pracy nad sobą, coraz lepsze efekty, a potem gówniarz wyjechał z czymś takim i samokontrolę Colina diabli wzięli.

Odetchnął głęboko. W tej chwili stanął przed problemem znacznie istotniejszym niż własna niekontrolowana agresja. Gdyby dziewczyny im nie przerwały i Colin rozszarpałby Mata, chłopak byłby sam sobie winien, natomiast Benson oznaczał zagrożenie dla nich wszystkich. I znów, Colina na moment zaślepiła furia. Co za durny szczeniak!

Krążył po swojej klitce. W mieszkaniu panowała cisza – nikt nie chodził, nikt się nie odzywał, tak że Colin, wsłuchawszy się, wychwytywał oddechy i bicie serc wszystkich trojga. Siedzieli w pokoju dziewczyn.

W gruncie rzeczy chłopak postąpił jak zdrajca, a zdrajców... Colin ponownie musiał się upomnieć. Tą drogą nigdzie nie dojdzie. Nie zabije brata na oczach Tin, bez względu na okoliczności. Obawiał się nawet tego, co sobie pomyślała, jeśli wyczytała z jego wspomnień taką sytuację na autostradzie. Tak bardzo chciał ją zataić przed Tin... a jednocześnie nie potrafił opędnąć się od krwawych wizji tego, do czego na szczęście nie doszło. „Krzyczał” tymi wizjami.

Poszukał pozytywnych stron zaistniałych okoliczności. Mat dał mu doskonały pretekst, żeby wreszcie wywieźć towarzystwo z miasta. Dziewczyny chciały zostać w Warszawie, sprzeciwiały się Colinowi, teraz jednak będą mogły zgłaszać pretensje jedynie do Mata.

Colin po raz ostatni odetchnął, policzył do pięciu i opuścił klitkę.

* * *

Rzeczywiście, wszyscy troje siedzieli w pokoju dziewczyn, w milczeniu, które Matowi ewidentnie ciążyło, ale zapewne nie chciał robić z siebie idioty, nawijając o bzdurach. Z kolei na to, by się pochwalić mejlem do Bensona, zabrakło mu odwagi.

– Wyjeżdżamy – oznajmił Colin. – Jeszcze dzisiaj. Spakujcie się.

Dziewczyny spojrzały na niego, Mat natomiast wbił wzrok w podłogę, marszcząc brwi.

– Wydawało mi się... – zaczęła ostrożnie Carol.

– Twój chłopak powiadomił Bensona, gdzie jesteśmy – przerwał jej Colin. – Niewykluczone, że organizacja oddelegowała tu oddział agentów, którym dano do powąchania nasze rzeczy, nawet coś Tin, jeśli namierzyli jej dom w Langwedocji. Nie twierdzę, że w tak dużym mieście łatwo nas wytropią, ale nie ma sensu ryzykować.

Teraz obie patrzyły na Mata, tyle że nie z oburzeniem, jakiego Colin po nich oczekiwał. Tin wydawała się obojętna; nie przejęłaby się nawet informacją, że pięć minut temu Benson przechadzał się pod ich oknem. Może poruszyłaby ją wiadomość, że Colin widział pod ich blokiem Antoine'a. Z kolei Carol przyglądała się badawczo Matowi, jakby chciała poznać jego motyw, nim zajmie stanowisko.

– Dlaczego się z nim skontaktowałeś? – zapytała bez wyrzutu w głosie.

– Chciał, żebym go zabił – warknął Colin – bo twojemu chłopakowi nie wystarczy na to odwagi.

Mat poderwał się z fotela.

– Napisałem do niego dlatego, że już raz nam pomógł – rzucił Colinowi w twarz. – Nie wiesz, czy zrobił to na polecenie przełożonych, czy sam z siebie, łamiąc reguły. Nie wysłuchałeś jego argumentów, ale już mu przykleiłeś łatkę bezwzględnego mordercy na usługach organizacji! Kurde, Colin, ty groziłeś mi dwa razy... – Urwał, najwyraźniej zdawszy sobie sprawę, że zaognia sytuację.

Super. Najpierw szczeniak sam wyskakuje z zemstą za kumpli jako głównym powodem wezwania Bena, a kiedy Colin wyraża tę myśl nieco precyzyjniej, wychodzi na wrednego typa, niezdolnego dostrzec szlachetnych intencji pseudołowcy.

– Więc leć na dworzec, rzuć się Bensonowi na szyję – poradził mu Colin. – A ja zabiorę stąd dziewczyny i tym razem nie dowiesz się dokąd.

– Przestańcie – powiedziała Carol, nadal drażniąco bezstronna.

Spojrzała na Tin. Między tymi dwiema zawiązała się szalenie irytująca komitywa. Colin wiedział, że dziewczyny nie potrafią rozmawiać telepatycznie, jak on z Tin – w końcu Carol była tylko człowiekiem, pozbawionym choćby najskromniejszych zdolności parapsychicznych – odnosił jednak niemiłe wrażenie, że Indianka rozumie się z Tin bez słów i wymiany myśli tysiąc razy lepiej, niż Colin kiedykolwiek zdoła.

Pocieszał się, że to normalne, że dwie laski szybko się dogadały – nawet jeśli gadanie jako takie rzadko pojawiało się w ich relacjach. Tylko że, idąc tym tokiem

rozumowania, Colin powinien bez problemu znaleźć wspólny język z Matem. Zaklął w duchu.

– Dobrze – odezwała się niespodziewanie Tin.

– Pakujmy się – zawtórowała jej Carol, wstając z kanapy.

– Dokąd pojedziemy? – zapytał z wahaniem Mat, kiedy stało się jasne, że dziewczyny nie poruszą tej kwestii.

– Zaszyjemy się gdzieś w lesie – mruknął Colin, wycofując się do swojej klitki.

Nie miał wiele do pakowania, podobnie zresztą jak pozostali. Odpalił laptopa i czekając, aż system wystartuje, szybko wrzucił swoje rzeczy do torby.

Wszedł na satelitarną mapę Polski. Szukał obiecującego lasu, bezpiecznie oddalonego od stolicy, skąd zarazem mógłby w miarę bez problemu wypuścić się na spotkanie z Bensonem. Skoro już drań miał przyjechać do Warszawy, żal byłoby zmarnować okazję do zdobycia informacji.

Musiał przyznać, że w tym kraju jest w czym wybierać. Aż skłaniał się, by uwierzyć opowieściom młodocianej francuskiej waderki o ponownej kolonizacji tych terenów przez członków społeczności. „Cudowne miejsce, gdzie można zaznać dzikości, ale na przyjazd tutaj trzeba sobie zasłużyć” – jakoś tak się wyraziła. Oczywiście, dla świadomego zza oceanu nie byłby to żaden cymes, biorąc jednak pod uwagę lasy, jakie Colin widział dotąd na Starym Kontynencie, nie zdziwiłby się, gdyby każdy europejski świadomy pragnął przenieść się właśnie do Polski. Idealna kombinacja ciągłej zdrowej natury z w miarę stabilną sytuacją polityczną.

Colin puknął palcem w ekran i zapamiętał nazwę miejscowości.

Zasady sprzedaży wysyłkowej:

- wysyłka jest realizowana za pobraniem po uprzednim złożeniu zamówienia telefonicznego, listownego, przez e-mail (runa@runa.pl) lub przez formularz na naszej stronie internetowej (www.runa.pl)
- niezależnie od wartości zamówienia doliczany jest koszt wysyłki w wysokości 12 zł
- przypominamy o czytelnym wpisaniu imienia, nazwiska i adresu oraz tytułów zamawianych pozycji
- w przypadku nieodebrania przesyłki kolejne zamówienia nie będą realizowane

Agencja Wydawnicza RUNA
A. Brzezińska, E. Szulc sp. j.
ul. Grzybowska 77 lok. 436
00-844 Warszawa
tel./fax: (0-22) 45 70 385
e-mail: runa@runa.pl

Zapraszamy na naszą stronę internetową:
www.runa.pl